

# Tadeusz Makowiecki

---

## Wspomnienie o K. W. Zawodzińskim

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 40, 434-439

---

1952

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## WSPOMNIENIE O K. W. ZAWODZIŃSKIM

## 1.

Nie należałem do bliskich znajomych K. W. Zawodzińskiego. Jakieś temu lat dwadzieścia zgórą — wkrótce po doktoracie — zacząłem widywać na herbatkach KLiN'u na Wareckiej czy na Placu Zamkowym szczupłego oficera ułanów, zawsze w polowej, niepozornej kurtce, z wypłowiałymi proporczykami na kołnierzu, ale zawsze ściągniętego rzemieniem pasa do maximum; prosty był jak trzcina, choć — gdy siedział — przeważnie pochylał się naprzód, jakby na koniu. Moje „cywilne“ oczy raził z początku ten ułan zabłąkany wśród uczonych i krytyków. Dopiero może za trzecim czy czwartym razem dowiedziałem się, że ów porucznik — to „K. W. Z.“ tak dobrze znany K. W. Z. z Przeglądu Warszawskiego i Wiadomości Literackich.

Przyjeżdżał zwykle późno, wprost po ćwiczeniach z Rembertowa czy Mińska, siadał na uboczu, zwarty, lekko pochylony. Do dyskusji mieszał się przeważnie wtedy dopiero, kiedy wyczerpała się ciągle powściągana jego niecierpliwość, mówił przeważnie krótko i zjadliwie. Ostrze wypowiedzi zwracał przeciw tematowi czy sądowi, nie osobie dysputanta. Była w tym jakby pewna szarmancja, ale nie wyrozumiałość, czy łagodność. — Na płaski żart, naciągnięty argument, lekkomyślny sąd reagował inaczej: ćwierćsekundowym grymasem ust, wzgardliwym ruchem ręki i upartym, zawziętym, nieraz aż ponurym milczeniem. Najdłużej umiał prowadzić dyskursy o wersyfikacji. Niejeden pamiętam wieczór, który stawał się nocą, a nie sposób było rozdzielić K.W.Z. wciąż sypiącego nowe argumenty od nie mniej zaciętego wątlęgo, młodziutkiego Siedleckiego.

Później wiedziałem, że wystąpił z pułku w szarży rotmistrza, potem wyjechał do Brukseli na katedrę literatur słowiańskich, wrócił, osiadł gdzieś pod Warszawą, dużo pisał. Podczas wojny spotkałem go na ulicy bodaj dwa razy, wybladłego, od razu starego, zgiętego pod brzemieniem plecaka z żywnością, który dźwigał dla swych małych dzieci. Dźwigał też jakieś książki, małowówny i zgaszony.

Blżej poznałem Zawodzińskiego dopiero w Toruniu, gdzie objął katedrę literatur słowiańskich na Uniwersytecie Kopernika. Odgiął się, odżył, ruchliwy, czynny, wykladał, pisał, drukował, jeździł. W tych pierwszych latach powojennych na tle rozbitków z różnych uniwersytetów przeważnie „zawodowców“ naukowych, dla których wykład czy odczyt nie był nowym zagadnieniem, ale, niestety, musiały być zagadnieniem, kartka do stołówki, bon na ubranie, remont mieszkania, a potem różne drobiazgi organizacyjne — Zawodziński odcinał się wyraziście. Gdy zbliżał się do grupy rozmawiających, już wkrótce z grymasem odwracał się, chwytając kogoś najbliższego za guzik i zaczynał z nim gwałtowną dysputę o poezji. Przez cztery ostatnie lata nie pamiętam ani jednej rozmowy ze mną, czy z kimś

w mojej obecności, któraby chociaż pośrednio nie dotyczyła literatury. W tramwaju, czy na ulicy, przed radą wydziału, czy po wykładzie żył stale i tylko w kręgu poezji. Wtedy twarz jego — zwykle poorana i blada — promieniała, oczy mrużył uśmiechem konesera, bądź rozwierał oburzeniem, gestykulował. Wystarczało jednak zmienić temat, żeby znużony i nagle przygarbiony, odchodził pospiesznie, prawie w połowie zdania. Słowa „miłośnik literatury“, „wielbiciel“ czy „znawca“ były wobec niego zbyt słabe: spalała go po prostu i dosłownie namiętność do — muz liryki i epiki (dramatem bowiem mniej się interesował). Choć nie sypiał po nocach, pisząc artykuły i recenzje, choć zużywał wiele godzin na przygotowanie wykładów — nie opuszczał prawie żadnego czwartku literackiego, żadnego zebrania Towarzystwa Literackiego czy Naukowego, żadnej możliwej dyskusji; kupował i pożyczał wszelkie nowości literackie polskie, rosyjskie, francuskie, rozmawiał o nich, pisał, korespondował. Gdy posiedzenia Towarzystwa im. Mickiewicza odbywały się raz na miesiąc — kilkakrotnie protestował; powinny się odbywać raz na tydzień, on sam gotów raz na miesiąc zgłaszać referat. Był jedynym profesorem, który złożył wniosek przedłużenia wykładów na lipiec, skarżąc się na zbyt długie wakacje.

Nieraz ostatnimi laty (nie wiem jak to było dawniej) wpłatał do dyskusji obrazki ze swych wspomnień „Oto kiedyś podczas białej, petersburskiej nocy spędzonej na spacerze z Żirmunskim...“ „oto raz na Mazowieckiej, gdy Tuwim mówił, że“... albo „nad Narwią, na manewrach prowadząc za uzdę konia...“ Te niezmiernie plastyczne, gawędziarsko barwne obrazki dlatego tylko utrwaliły się i pojawiały w jego rozmowie, że były kiedyś tłem, otoczeniem — dla przeżyć związanych ze spotkaniami z Nią — z Poezją. Jakiś nowy tomik, czy nowy pogląd na wiersz, jakiś przeżyty epizod bohatera powieści — to zawsze stało w centrum przypomnianej chwili. „Ona“ — była zawsze najważniejsza.

Nie dyskusje jednak, wykłady, odczyty, były domeną jego życia. Zawodziński jak rzadko kto był człowiekiem pióra. W jednej ze swych autobiografii podał kilka swych pozycji, drukowanych oddzielnie jako książki („Tiutczew“ — 1926 rozszerzone wyd. w r. 1948, „M. Dąbrowska“ — 1932, „Zarys wersyfikacji polskiej“ — 1936, „Blaski i nędze realizmu powieściowego w Polsce“ — 1937, „Liryka polska w dobie jej kryzysu“ — 1939) — poczem dorzucił skromne uzupełnienie: „oraz kilkanaście setek“ artykułów, recenzji, studiów w różnych czasopismach. Po wojnie mógł dorzucić: „Rzut oka na literaturę polską“, w 1945. „Stulecie trójcy powieściopisarzy“ 1947, „Dwaj poeci filozofowie“ 1948 oraz co najmniej jedną setkę artykułów i recenzji. Wreszcie wspomnieć trzeba o kilku szkicach, które znalaziono po śmierci krytyka w jego szufladzie.

Ze szkiców rozsianych z niedbałą (zbyt niedbałą) rozrzutnością po pismach całej Polski — można by i należało wybrać najważniejsze, powiązać i wydać. Najmniej byłoby ich z zakresu uniwersyteckiej, „petersburskiej“ specjalności prof. Zawodzińskiego — z romanistyki, która po dyplomowej rozprawie o Cazotte rzadkimi tylko odzywała się echem o poezji francuskiej. Pokażny natomiast tom zebrałby się z filologii rosyjskiej, która stała się drugą specjalnością uniwersytecką: „brukselsko-toruńską“ (zwłaszcza poezje Lermontowa, Tiutczewa, Feta, Balmonta, Błoka, Jesienina). Niemniej poważny wolumin powstanie ze studiów wersyfikacyjnych, kiedy do „Zarysu“ z r. 1936 dorzuci się parę przyczynków, kilkanaście gruntownych recenzji oraz studia (niestety, nie wykończone całkowicie) pozostałe w maszynopisie.

Wydanie dwu tych tomów jest szczególnie ważne. Wciąż bowiem, (niestety — niestety) w nauce polskiej ilość specjalistów w zakresie rusycystyki oraz nauki o wierszu da się przysłowiowo zliczyć na palcach jednej ręki.

Trzeci tom składałby się ze studiów nad prozą polską od Krąszewskiego po Dąbrowską. Czwarty wreszcie najobszerniejszy — pewnie parotomowy — gromadziłby recenzje i szkice o liryce polskiej z okresu 20-lecia międzywojennego.

O wadze dorobku Zawodzińskiego z tamtych dziedzin — niech piszą specjaliści; ja chciałbym tu kilku zdaniem usprawiedliwić należny mu tytuł — pierwszego i naczelnego krytyka polskiej poezji współczesnej.

Każdy kto znał jego twórczy wkład do nauki o wierszu, musiał jakby z góry wiedzieć, że sąd jego o poezji będzie oparty na odczytaniu w dawnej poezji oraz gruntownej znajomości literackiej techniki.

Każdy kto znał jego studia o ulubionych powieściopisarzach musiał jakby z góry wiedzieć, że pociągała go w nich czysta epickość. Gwałtowność prozy Reymonta, liryzm Żeromskiego, stylizacje Berenta, deformacje Kadena, eksperymenty najmłodszych prozaików były mu więcej niż obce. Czystość i jędrność stylu, prostota kompozycji, możliwość „trafienia pod strzechy“, interesująca akcja (jak u Sienkiewicza) „niezauważalność ekspresji, język jak najbardziej potoczny, unikanie schematyzmu w budowie obrazu życia, zawsze pełnego niespodzianek“ (jak u Orzeszkowej) — oto cechy miłe mu szczególnie.

Każdy wreszcie kto znał jego entuzjastyczne studia o liryce rosyjskiej, (zwłaszcza o Puszkynie i Lermontowie), musiał rozumieć jego upodobania do poezji doskonale klarownej, przemawiającej zarazem do najsubtelniejszych znawców i do najprostszych słuchaczy.

Znawca wielkich tradycji wersyfikacyjnych, miłośnik dojrzałej prozy Orzeszkowej czy Dąbrowskiej, entuzjasta Lermontowa — nie dziw, że w poezji Polski współczesnej musiał uznać za mistrza — Leopolda Staffa.

Poezja ta darzyła go jako czytelnika — powściągliwością lirycznych osobistych wyznań, jasnością i rzetelnością artystyczną („więc odpowiedzialnością za słowo“) sublimacją od efemerycznych spraw aktualnie zmiennych, przypadkowych, kunsztowną, nieomal klasyczną prostotą. Po okresie młodopolskim „zmęczony bezskutecznością porywań do absolutu, których był przymusowym uczestnikiem — czytelnik Staffa mógł ocenić dalekość perspektyw otwierających się z ziemskiego i śmiertelnego punktu widzenia na nieskończoność i wieczność“.

Spośród poetów młodszych (od Mistrza) najbliżsi, oczywiście, byli mu ci, którzy uważali się za uczniów Staffa — Skamandryci, a spośród nich szczególnie: Tuwim, Słonimski, Wierzyński, i Pawlikowska. Przyznawał, że narzucili się oni uwadze czytelników przez: „urbanizm, akcenty społeczne, rewolucyjność, prowokującą skandaliczność“ ale własnością powszechną z ich poezji stało się przede wszystkim: „zniżenie stylu, likwidacja języka poetyckiego i zarazem wciągnięcie dziedzin życia dotychczas niepoetycznych w obręb tematyki i metaforyki“.

Kto gorący był dla Staffa i bardzo ciepły dla „Skamandra“, musiał być chłodny dla „awangardy“. Łamanie toku zdania i składni, łamanie rytmu i rymu, eksperymenty w zakresie metaforyki — musiały go odpychać od nich. Zresztą stwierdzał że i „Skamander“ grzeszył, jak awangardziści, nadmiarem uwagi na „reformę formy“. Oboje dzieci formizmu, pisał: „każdy z nich mieczem wojował i ginie od miecza: od pojmwania poezji jako chwytu, jako techniki.“ Tu — pisząc w r. 1939 o kryzysie liryki dodawał: obecnie „chwytam jakąś zmianę dominanty estetycznej, nakaz zwracania uwagi na składniki treści, na godność postawy poetyckiej (także godność osobistą — autora), na wzniosłość przeżyć, na ich powszechność.“ A godność postawy poetyckiej to odsunięcie twórczości od eksperymentów jedynie formalnych, od ambicji epatowania czytelnika, od fajerwerkowości dreszczu dla dreszczu, od służby dla spraw przejściowych, powierzchniowych.

Te wartości (odpowiedzialność za słowo, klarowność stylu, powszechność, dostępność, wyrastanie z tradycji wielowiekowych wiersza, godność postawy poetyckiej) były probierzami jego wartościowania. A zważył i ocenił Zawodźński podczas ćwierćwiecza swej pracy krytyka — na pewno wiele ponad tysiąc tomików. Zważył i ocenił. Każdy z poetów debiutujących dopiero, czy kończących swą drogę, wiedział na pewno, że zbioru jego nie pochlonie milczenie, że w którymś z czasopism, a także w corocznych „dożynkach“ literackich (w „Roczniku Literackim“) na pewno będzie sprawozdanie K. W. Z., recenzja sprawiedliwa, (o ile w ogóle może być sprawiedliwa krytyka), w każdym razie niezależna bezpośrednio od ambicijek ówczesnych grup i kapliczek literackich.

Raczej życzliwy dla początkujących, surowy bywał Zawodźński dla twórców uznanych, nawet z bliskiego mu kręgu (na obszerną recenzję o nim Siedleckiego w 1938 r. zareplikował K. W. Z., że nigdy

nie należał do grupy Skamandrytów, że oceniał ją w „Przeglądzie Warszawskim“ dodatnio — ale nie jako wyznawca). Dlatego nawet o Tuwimie dał kiedyś chłodną recenzję z jego tłumaczenia „Jeźdźca Miedzianego“. Natomiast w obojętniejszym mu Iwazskiewiczzu widział i cenił (w „Glossach“) ambicję ciągłego doskonalenia się i rozszerzania twórczości na nowe dziedziny. Dlatego także wśród zdecydowanie niemilej mu awangardy umiał dostrzec Przybosa, Jastruna i Miłosza. Znał maruderów wszystkich kierunków, prowodyrów i samotników. Nieraz też dogrzebywał się bardzo istotnych zagadnień np. sprawy (tzw. licencyj poetyckich i ich zmian w różnych etapach literatury („Glossy“ 1939 oraz rozprawa w sprawozd. Tow. Nauk. Toruńskiego z 1947).

Pozostaje pytanie jakim gatunkiem krytyka był Zawodziński? Na pewno nie był heroldem żadnej grupy, trębaczem który by jej hasła rozdmuchiwał przed pochodem — jak jedni krytycy. Nie był na pewno zoilem, złośliwcem, czyhających zza węgła na zbłądzonych i samotników, jak inni. Nie był też smakoszem, poszukiwaczem osobliwości. Nie był naukowcem, badaczem — badawczy stosunek miał tylko wobec wersyfikacyjnej strony poezji. Nie miał kompleksu „mędrca“ jak rzadcy krytycy, dla których omawiana książka jest tylko pretekstem do rozsnuwania własnych teorii filozoficznych, społecznych czy politycznych. Nie miał wreszcie kompleksu literackości jak liczni krytycy, którzy w pięknym stylu, w poetyckim nastroju swych essayów wyżywają się literacko. Pisał przecież: „Sumiennność artystyczna — jakie to szczytne zwłaszcza w Polsce, gdzie prawda (jako absolutny obowiązek, jako kategoryczny imperatyw) zawsze jest wzgardzona dla pięknego słówka, dla lada efekciku.“

Miał za to dwie inne cechy.

Przede wszystkim zawsze jak najmocniej, jak najbezpośredniej pragnął odczuć w sobie drgnięcie wewnętrznej strzałki poetyckiej na jakiś utwór, nie zlekceważyć najsłabszego nawet prądu poezji. To rys utrzymania wrażliwości na każdy okrucuch piękna.

Obok tej intymnej, osobistej pasji działało razem i jednocześnie niemniej mocne poczucie społecznego obowiązku krytyka, wspólnoty jego z powszechnością. Nie tylko reagował na to, co miało lub mogło mieć swój powszechny walor, ale jednocześnie pragnął, by powszechnie można to poznać i odczuć; poznać prostym językiem prawdy, żeby się nie zmarnowała żadna cenna stronnica w słabym nawet tomiku, żaden dobry wiersz niepopularnego autora, żeby można było powrócić do zapomnianej książki i znowu przeżyć niezapomniane chwile. Stąd typowy tytuł „Kraszewski na nowo odczytany“ mógł być tytułem wielu jego szkiców. Ze skrupulatnością zacieklą szukał, wartościował, ukazywał, notował, zestawiał, informował; można by z jego studiów nakreślić szczegółową mapę dziwnego archipelagu tysiąca wysp — wierszy współczesnej poezji, mapę wędrówek i badań po Polsce literackiej w pierwszej połowie XX wieku.

Przypominać mógł condradowskich kapitanów z mórz południowych, odkrywców wysp i raf, znawców prądów podwodnych, nie sentymentalnych bynajmniej marzycieli, ale niezmordowanych, doświadczonych włośczęgów, pozornie oschłych, zawsze wzgardliwych dla spraw lądu, nigdy nie mogących się oderwać od swych mórz i wysp.

*Tadeusz Makowiecki.*

MIECZYŚLAW RULIKOWSKI  
(1881—1951)

Teatrologia i bibliologia, dwie dyscypliny naukowe, nie obojętne dla historyka literatury, należące do fundamentów rozwoju kultury, a bardzo słabo u nas rozbudowane, były tymi dziedzinami nauki, w których Mieczysław Rulikowski zapisał się trwale, nadzwyczaj sumiennie i w sposób wielce różnostronny. W stosunku do posiadanej, rozległej wiedzy, rozwijanej bezustannie w ciągu długiego i niezwykle pracowitego życia, oraz w stosunku do gorliwie zbieranych i fachowo kompletowanych własnych, bogatych zbiorów książkowych i archiwalnych, jego poważny dorobek naukowy ilościowo przedstawia się może nie nazbyt obficie<sup>1</sup>. Ten cenny dorobek tym bardziej domaga się analizy i upowszechnienia, iż jest on rozproszony głównie w postaci artykułów i recenzji w licznych czasopismach, encyklopediach i słownikach, wreszcie odbitek z rozpraw w periodykach, wydanych w małej ilości egzemplarzy. Są to prace przeważnie drobne objętościowo, fragmentaryczne, wszystkie przedstawiają najściślej ustalone fakty, nie pomijają tła historycznego, wnoszą poważny wkład do nauki.

Mieczysław Jakub Ludwik Rulikowski, syn Edwarda, ziemianina i Stefanii ze Szlubowskich urodził się 26 lipca 1881 r. w Warszawie i w niej prawie całe życie spędził i pracował; od końca r. 1933 aż do chwili zgonu mieszkał w Grodzisku Mazowieckim, jednak w dalszym ciągu stale pracował w stolicy. Po ukończeniu gimnazjum studiował historię i literaturę na uniwersytetach: Jagiellońskim (1903—1907) i w Sorbonie (1907—1909).

<sup>1</sup> *Bibliografię prac Mieczysława Rulikowskiego* opracował w maju 1951 r. Stefan Straus (W-wa), przeznaczając ją dla czasopisma *Teatr*, o czym informujemy, korzystając z łaskawie nam użyczonego rękopisu pracy. *Bibliografia* zawiera ogółem 333 pozycje, w tym większość artykuły z czasopism, oraz 10 rękopisów młodzieńczych utworów literackich, pochodzących z r. 1901 i 1902. *Bibliografia* nie jest pełna, co tak tłumaczy jej autor: „Wielorakość zainteresowań Mieczysława Rulikowskiego oraz zamieszczanie przez niego artykułów w licznych czasopismach nie pozwoliły na zestawienie bibliografii pełnej, należałoby bowiem przejrzeć kilkaset roczników, przy czym i wówczas nie miałoby się pewności wyłowienia wszystkich pozycji“.